

Dlaczego prawie na pewno nie było zamachu pod Smoleńskiem

29 lipca 2022

Chciałbym postawić dość prostą hipotezę, która wymagać będzie jednak szczegółowych rozważań. Od katastrofy pod Smoleńskiem, w której zginęło 96 osób, w tym najważniejsze i bardzo ważne osobistości w państwie, minęło niedawno dwanaście lat. Był to niewątpliwie wielki szok, szczególnie dla rodzin, krewnych i znajomych wszystkich ofiar z prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego Małżonką przede wszystkim. Szok, jaki pamiętam, gdy rano jak co dzień sprawdzałem najważniejsze newsy z kraju i ze świata, był ogromny, choć w tej katastrofie nie zginęła żadna spokrewniona ze mną ani znajoma mi bezpośrednio osoba. To samo musieli czuć wtedy wszyscy Polacy. Wydawało się, że choć na krótko zjednoczyło nas poczucie żalu i narodowa żałoba.

Katastrofy lotnicze zdarzały się na świecie od początku lotnictwa. Miały bardzo różne przyczyny, które można z grubsza podzielić na techniczne (awarie samolotów, helikopterów, etc.); czynnik ludzki, czyli błędy człowieka i przyczyny natury pogodowej – burze, pioruny, prądy powietrzne, cyklony. Przeważnie tzw. czarne skrzynki udawało się odnaleźć i na podstawie zapisów z kabiny pilotów w większości przypadków katastrof udawało się ustalić najbardziej prawdopodobną przyczynę lub zespół przyczyn tych tragedii. Nie wszystkie jednak katastrofy zdołano wyjaśnić jednoznacznie i wskazać na niewątpliwe czynniki sprawcze. Zdarzało się, że nie udało się odnaleźć nawet wraków lub chociaż szczątków samolotów i innych statków powietrznych.

Wszelkie wielkie katastrofy – nie tylko lotnicze – mają to do siebie, że wprowadzają chaos. Zmieniają bieg zdarzeń czasem o niemal 180 stopni. Chaos, jaki zapanował rankiem dnia 10 kwietnia 2010 roku tuż po godzinie 8:41, kiedy doszło do zderzenia samolotu z ziemią, był niebywały. Jest to całkowicie

zrozumiały i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie twierdził, że ktoś celowo ten chaos wywołał. W takich przypadkach rzeczy dzieją się bardzo szybko, kaskadowo, powstaje coś na kształt reakcji łańcuchowej lub coś na wzór przewracających się kostek domina. W takiej sytuacji włączane są procedury alarmowe w państwie, tym bardziej, że zginęło bardzo wielu ludzi z najwyższych władz wojska polskiego, urzędników państwowych, VIP-ów i znanych, doświadczonych polityków, posłanek, senatorów. Polska wtedy zamarła, wszyscy mówili tylko o katastrofie.

Niestety, bardzo szybko poczucie narodowej jedności, ponad podziałami i ponadpartyjnego porozumienia dusz pogrążonych w żałobie, przeminęło. Gdy tylko ówczesny premier Donald Tusk pojechał na miejsce zdarzenia, gdzie oprowadzał go sam Putin, zaczęły się odzywać pierwsze, początkowo nieśmiały, z czasem coraz silniejsze głosy, że nie była to tragiczna, ale jednak tylko zwykła katastrofa lotnicza, jedna z wielu setek podobnych w historii lotnictwa.

Niemal od razu zaczęto cytować wrywane z kontekstu fragmenty poezji prawicowych głównie poetów (na czele ze słynnym zdaniem Herberta „zdradzeni o świecie”; nota bene, poecie chodziło tu konkretnie o godzinę 4.45 – godzinę napadu hitlerowskich nazistów na Polskę 1.09.1939, co rozpoczęło II wojnę światową); zaczęto kojarzyć ze sobą dwa kompletnie niepowiązane (poza geograficznym miejscem) fakty historyczne – ludobójstwo Polaków i Żydów przez NKWD w Katyniu i w innych miejscach, by wreszcie głośno wszem i wobec ustami najważniejszych przedstawicieli ówczesnej opozycji oznajmić: „To nie była katastrofa. To był zamach”.

I tu zaczęło się zwykłe polskie piekiełko. Nie pomogło racjonalne, logiczne myślenie, opinie ekspertów lotnictwa, ustalenia bardzo wielu komisji. Pikanterii i oliwy na młyn ówczesnej opozycji dodawał fakt, że Rosjanie nie zwrócili (aż do dziś) wraku i dość długo odczytywali zapisy z czarnych skrzynek. Pojawiły się więc opinie, że Rosjanie celowo

sfałszowali zapisy, żeby ukryć odgłos rzekomego wybuchu (potem opowieść ta rozrośnie się do wielu rzekomych wybuchów, równoczesnych bądź następujących po sobie). Padały oskarżenia nie tylko wobec władz z Kremla z Putinem na czele – oskarżano rząd polski, kancelarię premiera niemal o współudział w „zamachu”.

Człowiek bardzo boi się przypadków (chyba, że są to szczęśliwe zbiegi okoliczności, jak na przykład wygrana na loterii) i losowych, bezsensownych zdarzeń. Katastrofa lotnicza jest losowym zdarzeniem, które jest skutkiem splotu zazwyczaj nie jednej, ale kilku mniej lub bardziej od siebie zależnych oraz zupełnie niezależnych, zbiegających się tylko w jednym czasie, przyczyn. Aby nadać wyższy sens, a więc wartość tragiczną, ale jednak tylko kolejną, jednej z wielu w historii lotnictwa katastrof, trzeba znaleźć sens pośród powstającego w czasie każdej katastrofy chaosu. Najprościej więc nie szukać obiektywnych i nieintencjonalnych przyczyn, tylko „winnych” – czy to w wersji miękkiej odpowiedzialnych pośrednio (np. przez zaniedbania służbowe), czy w wersji twardej, którą lansuje obóz narodowo-prawicowy, głosząc, że mieliśmy do czynienia z zamachem.

Bardzo szybko ktoś rzucił hasło „zamach”, choć trudno wskazać, czy zrobiła to jedna osoba, czy też jakaś grupa czy hasło to było wynikiem niezależnego „myślenia”. Zanim jeszcze społeczeństwo zdążyło ochłonać od prawdziwego szoku po katastrofie, zanim jeszcze wszczęto śledztwo i dochodzenie – niemal cała ówczesna opozycja miała z tyłu głowy to jedno słowo, wytrych do zrozumienia, taki „klucz”, którym można otworzyć każde drzwi. Teorie spiskowe mają także to do siebie, że ogarniają jakąś „całość”, przedstawiają pozornie spójny i domknięty system logiczny na jakiś temat i zarazem nie dopuszczają żadnej luki. Przeciwnie – oto teraz ‘wiemy wszystko’, „idziemy do całej prawdy”, „odkrywamy zakryte”, demaskujemy prawdziwych „winowajców”, de facto – zwyczajnie dobieranych „kozłów ofiarnych”, potrzebnych zawsze i wszędzie.

Podobnie w faszyzmie wrogiem był „Żyd”, a w komunizmie „obcy interwencji, agenci CIA”, a na przedsiębiorstwach przemysłowych jeszcze do dziś widać ślady wyblakłych farb, którymi wypisywano hasła typu „Czuwaj! Wróg nie śpi”. Opowieści o „klasowych wrogach” można by ciągnąć w nieskończoność.

Pójdźmy jednak tym tropem myślenia, przez chwilę dopuszczając, że faktycznie mogło dojść do zamachu terrorystycznego. Nie wszyscy wiedzą, że początkowo w oficjalnych polskich śledztwach prokuratorskich również była brana pod uwagę ta ewentualność (jako „intencjonalny czynnik sprawczy osób trzecich”). Przyjrzyjmy się dokładnie tej odrzuconej dawno przez wszystkie poważne instytucje śledcze ewentualności.

Gdyby potencjalny zamachowiec (lub zamachowcy) podłożył ładunek wybuchowy (lub dwa albo więcej takich ładunków) przed startem Tupolewa na lotnisku Warszawa-Okęcie, to musiałby być to ładunek z zegarem czasowym, czyli inaczej mówiąc „bomba z opóźnionym zapłonem”. Załóżmy, że zamachowiec jakimś cudem dostaje się do wnętrza samolotu (abstrahując od faktu, że jest to niemal nieprawdopodobne podczas lotu najważniejszych VIP-ów w państwie) i podkłada ładunek. Musiałby znać dokładną godzinę wylotu i dokładną (z marginesem błędu najwyżej o kilka minut) godzinę lądowania w miejscu docelowym.

W pamiętnej tragedii samolotu pasażerskiego, który rozbił się nad angielskim miasteczkiem Lockerbie w 1988 roku, zamachowcy użyli czeskiego „semtexu” (rodzaj niewykrywalnego przez ówczesne bramki na lotnisku materiału wybuchowego) z zegarem czasowym; zaplanowali zniszczenie samolotu dopiero nad oceanem Atlantyckim, jednak z powodu opóźnionego wylotu z lotniska Heathrow w Londynie, ładunek został zdetonowany o godzinę wcześniej, właśnie nad wspomnianym szkockim miasteczkiem. Plan się nie udał – detonacja nad oceanem utrudniłaby z pewnością śledztwo, o co właśnie chodziło terrorystom.

Gdyby Tu-154 posiadał w momencie opóźnionego o 27 minut wylotu ze stolicy na pokładzie ładunek czasowy, wybuch (albo kilka

detonacji) nastąpiłby nie na lotnisku Siewiernyj pod Smoleńskiem, ale niemal pół godziny wcześniej, czyli wtedy, gdy samolot z prezydentem był jeszcze w przestrzeni powietrznej Białorusi. Gdyby nawet zamachowcy przewidzieli zaistniałe opóźnienie, nie udałoby im się ustawić zegara aż tak dokładnie, żeby wybuch nastąpił przed zderzeniem z brzozą, która – wedle teorii spiskowych – miałaby być „zmyłką” i zostać wcześniej ścięta albo powalona przez wiatr.

Wybuch w momencie, kiedy samolot i tak miał problemy z lądowaniem, jest całkowicie nieprawdopodobny. Rzecz jasna, rzekomi zamachowcy nie mogli przewidzieć, że samolot i tak będzie miał problemy z lądowaniem. Jak jednak pokazują stare nagrania z Lockerbie, zniszczenia samolotu po detonacji jakiegokolwiek ładunku wybuchowego z wnętrza samolotu są diametralnie inne. To prawda, że samolot tamten spadał z bardzo dużej wysokości, jednak zniszczenia są o wiele większe, a rozrzut szczątków obejmował nawet kilkadziesiąt kilometrów.

Gdyby nawet hipotetyczni zamachowcy (nawet niekoniecznie rosyjscy) przewidzieli opóźnienie i uwzględnili je przy ustawianiu zegara bomby, to ryzykowaliby z kolei, że wybuch nastąpi pół godziny po opuszczeniu przez gości pokładu Tupolewa, w sytuacji, gdyby wylot z Okęcia nastąpił jednak planowo.

Teoria zatem o ładunku podłożonym przed wylotem z Warszawy odpada całkowicie. Jest całkowicie wyssaną z kosmosu alternatywną teorią, tworzącą oderwaną rzeczywistość, bo trzeba pamiętać, że słowa nie tylko odtwarzają świat, ale mają moc sprawczą.

Pozostaje kwestia detonacji zdalnej, która jest jeszcze mniej prawdopodobna: ktoś musiałby podłożyć kompatybilny z „pilotem” do detonacji ładunek w Warszawie, a współsprawca musiałby odpalić ładunek w odpowiednim momencie, znajdując się bardzo blisko pilnie strzeżonego lotniska Siewiernyj. Dlaczego miałby odpalić ładunek podczas lądowania, skoro była mgła i jak

pokazuje amatorskie nagranie świadka z wcześniejszego, udanego lądowania samolotu Jak-40, samolotu prawie nie było widać z odległości większej niż 100 m? Odpaliłby ładunek, kiedy samolot byłby dalej od lotniska, kiedy był jeszcze bardziej widoczny. Nie mógł wiedzieć, że załoga ma bardzo poważne problemy z podchodzeniem do lądowania, więc nie czekałby aż samolot dotknie płyty lotniska, tym bardziej, że maszyna znalazła się poniżej ścieżki podchodzenia, a Tu-154 schodził zbyt szybko (ok. 6 m/sek.) i był odchylony od pasa lotniska na lewo o około kilkadziesiąt metrów.

Zastanówmy się teraz nad jeszcze jednym aspektem: potencjalni zamachowcy z pewnością nie byliby jasnowidzami, nie mogli tedy wiedzieć, jakie zapanują w okolicy lotniska Siewiernyj lokalne warunki atmosferyczne, nie mogli więc wiedzieć, że mimo ich rzekomych planów samolot i tak będzie miał co najmniej duże trudności z lądowaniem, a tym bardziej nie mogli przewidzieć, że i tak się rozbije. Jeśli ktoś zdalnie z jakiejś odległości zdetonował ładunki wybuchowe, kiedy samolot i tak miał spore problemy, to ktoś może powiedzieć, że chodziło o upozorowanie wypadku. Ale to też nie wytrzymuje krytyki.

Aby zrozumieć prezentowany tu tok rozumowania, wyobraźmy sobie przez chwilę, że warunki atmosferyczne były diametralnie inne – nie było mgły, głównej przyczyny osłabionej mocno widzialności, nie było deszczu i świeciło słońce, a na niebie nie było żadnej chmurki. Podchodzący do lądowania Tupolew w tych warunkach z pewnością nie miałby żadnych większych problemów z podejściem do lądowania, nawet mimo wad lotniska (kiepskie oświetlenie, brak wieży kontrolnej, jedynie mobilne stacje dowodzenia, itd.) i pomimo wszystkich innych opisanych potem kłopotów (np. ze znajomością języka rosyjskiego pilotów, obecnością osób trzecich w kabinie, co mogło – zdaniem psychologów – wywoływać presję psychiczną, a także sprzyjać dekoncentracji pilota, itd.). Gdyby świeciło słońce, lotnisko byłoby widoczne, a samolot bez trudu usiadłby na lotnisku, tym bardziej, że godzinę wcześniej w ostatniej chwili przed

zaistnieniem mgły na płycie usiadł samolot Jak-40 (natomiast trzeci samolot, rosyjski Il zrezygnował z lądowania, odchodząc na drugi krąg i odleciał na lotnisko zapasowe). Co w takiej sytuacji zrobiliby potencjalni zamachowcy?

Nie byłoby możliwości upozorowania wypadku, nastąpiłaby detonacja na prawidłowym kursie podejścia i nie byłoby żadnych wątpliwości co do rzeczywistego przebiegu zdarzeń. Poza tym Tupolew musiał lecieć na pełnych zbiornikach paliwa, żeby móc potem powrócić do Warszawy (na lotnisku Siewiernyj nie było możliwości tankowania). Gdyby doszło do detonacji ładunków wybuchowych, w połowie pełne (albo nawet więcej niż w połowie) baki samolotu polskiego spowodowałyby potężne dodatkowe wybuchy i ogromny pożar. Pomijam fakt, że w tej sytuacji cały wrak, jak i ciała ofiar nosiłyby ślady takiego przebiegu zdarzeń.

Teorie więc o detonacji zarówno samoistnej (z zegarem czasowym) i „zdalnej” nie wytrzymują logicznej i racjonalnej krytyki.

Jeśli natomiast chodzi o znaną wszystkim nam brzozę, to było to dość grube drzewo (około 30-40 cm średnicy pnia), ponadto gdyby złamał ją wiatr, nie byłaby złamana także w podstawie, jak to się stało. Napierające z prędkością 270 km/h lewe skrzydło samolotu odchyliło i ścięło w ułamku sekundy brzozę pod kątem zgodnym z kątem ułożenia skrzydeł Tupolewa, tnąc i wyginając poszycie oraz poszczególne elementy budowy skrzydła na zewnątrz, zgodnie z torem napierania. Gdyby samolot leciał szybciej ściąłby drzewo całkowicie, tak jak to zrobił z kolejnymi konarami i gałęziami spotykanych na torze lotu kolejnych drzew. Testy zderzeniowe samolotów pokazują, że zderzenie skrzydła samolotu z przeszkodą przy tej prędkości przecina zarówno przeszkodę, jak i skrzydło. Zarówno na lewym skrzydle znaleziono resztki drewna z brzozy, jak i metalowe części slotu, lotek i innych fragmentów skrzydła powbijane były w pozostały po ścięciu pień drzewa.

Oprócz słynnej katastrofy samolotu Boeing 474 nad szkockim Lockerbie, w krótkim czasie pod koniec 1988 roku w Wielkiej Brytanii miał miejsce jeszcze jeden wypadek innego Boeinga. Samolot próbował lądować na lotnisku, które leżało prostopadle za autostradą; niestety, zszedł zbyt nisko, i piloci w ostatniej chwili próbowali poderwać samolot, który przelatywał nad wąwozem autostrady (obniżeniem terenu w stosunku do poziomu płyty pasa lotniska), aby przelecieć nad rosnącymi na zboczu autostrady drzewami. Ściął tylko ich same wierzchołki, lecz mimo to nie zdołał przelecieć i rozbił się na zboczu koryta autostrady. Trzeba pamiętać, że części samolotu, których jest tysiące, są lekkie (co nie znaczy słabe) i poszycie samolotu odnosi w zderzeniu z przeszkodami na torze lotu albo przy zderzeniu z ziemią większe zniszczenia niż w przypadku kołowych pojazdów lądowych. Niebezpieczne są czasem nawet ptaki, które mogą być wciągnięte w wirniki silników samolotów.

PiS stracił niemal zainteresowanie „zamachem”; Jarosław Kaczyński zakończył tradycję comiesięcznych spotkań pod Belwederem; to zrozumiałe – mieliśmy i mamy kolejną falę pandemii, mamy coraz wyższą inflację, a na dobitkę wojnę tuż za miedzą. Jak to się stało, że niemal z dnia na dzień o „zamachu” ucichło? Gdzie są te krzyczące z wściekłości tłumy „miesięczników”, gromadzących się z krzyżami, sztandarami, transparentami i trzymanymi w rękach na pokaz różańcami przez pałacem prezydenckim? Emocje opadły, to rzecz naturalna. Ale one nie zniknęły – nic nie znika, ot tak sobie.

Pozostał międzynarodowy smród, wywołany pomówieniami, oskarżeniami, rzucanymi oszczerstwami i oczernianiem ówczesnych władz polskich, a przede wszystkim oskarżeniami kierowanymi bezpośrednio pod adresem Rosji. Zapytam teraz wprost: jak czuje się niewinny człowiek, którego sąd skarże bezpodstawnie na wieloletnie więzienie? Przykład pierwszy z brzegu – Tomasz Komenda, niesłusznie uznany za winnego zabójstwa. Kiedy ogląda się wywiady z nim, czuć między słowami

nie tylko wielki żal, poczucie straconych wielu lat, dobrego imienia, a przede wszystkim ogromne poczucie krzywdy. Nic dziwnego, że powstają w takiej sytuacji negatywne emocje. Nie trzeba być psychologiem, żeby zrozumieć jego gniew, złość, wściekłość i chęć odwetu, a przynajmniej to, że domaga się wysokiego odszkodowania i zadośćuczynienia.

Przenieśmy tę jednostkową sytuację w górę na skalę międzynarodową – jeśli nie było zamachu, a jest niemal pewne, że go nie było, jak musiał poczuć się prezydent Rosji, abstrahując teraz zupełnie od tego, co wyprawia dzisiaj? Jeśli żadnego zamachu nie było – Rosja została niesłusznie oskarżona o zamach, którego nie było. Takie są fakty. Na szczęście oskarżenia te nie padły w postaci jakichś formalnych procedur, bo przecież od początku rząd polski PO-PSL wiedział, że żadnego zamachu nie było. Komu więc potrzebna była narracja, a właściwie bajeczka o zamachu?

Gdyby na delegację do Katynia lecieli zwykli obywatele, nikt z prawej strony nawet by nie pisał o jakimkolwiek „zamachu”. Fakt, że najwięcej zginęło osób, powiązanych ze środowiskami prawicowymi, po pierwsze wywołał szok w opozycji, po drugie – mechanizm wyparcia (tak ważne osoby nie mogły zginąć w „zwykłym” wypadku lotniczym), po trzecie i chyba najważniejsze – postanowiono wykorzystać tę tragedię w sposób polityczny.

Odsunięty od władzy w 2007 roku PiS postanowił zagrać *va banque* – skoro straciliśmy tylu naszych ludzi, to przynajmniej zyskajmy na tym mocny kapitał społeczny. Gdyby większość tragicznie zmarłych stanowiły osoby związane ze środowiskami centro-lewicowymi, PiS nie sformułowałby żadnej z bardzo licznych i co ważne, stale i nadal się rozrastających niczym mentalna epidemia, teorii spiskowych. Postanowiono zatem, że powstanie po pierwsze – narracja o zamachu bezpośrednio urządzonego przez Putina (ewentualnie różne poboczne narracje o zamachu terrorystycznym na terenie Rosji, ale nie spowodowanego przez ten kraj), po drugie – o co najmniej współodpowiedzialności ówczesnych władz polskich za

katastrofę, a w wersji twardej, która ostatecznie zwyciężyła – obarczenie całą winą za „zamach” premiera Donalda Tuska (co potem stało się słynnym archetypem „wina Tuska” w odniesieniu do niemal każdego negatywnego zjawiska w Polsce, obojętnie, jakiego rodzaju).

Dodatkowo włączenie się Kościoła w całą otoczkę symboliczno-narodową i stałe nieuczciwe kojarzenie zbrodni katyńskiej z katastrofą społeczną zrobiło swoje. Działa tu mechanizm kompensacji społecznej – skoro już straciliśmy tyle ważnych osób – to niech to będzie przynajmniej „ofiara” patriotyczna, podobna do tej prawdziwej sprzed 80 lat. Skoro zginęli tam, gdzie mordowano Polaków, niech to będzie w aurze ofiary, dziejowej misji. Wracają tu stare upiory romantycznej wizji Polski i jej znaczenia w świecie, toposy i archetypy „chrześcijańskiego przedmurza” (*antemurale christianitatis*) z XVII czy „Polski jako Chrystusa narodów” z XIX wieku. Jak twierdziła wybitna badaczka polskiego romantyzmu, Polacy nie przepracowali jeszcze historycznych traum, które nadal rządzą społeczną świadomością. Ponadto jakoś nie pasuje ranga osób, które zginęły w katastrofie do jeszcze jednego wypadku, który na dokładkę nie był nieunikniony. Tej katastrofie można było zapobiec i to musi boleć najbardziej. Wedle przepisów polskiego prawa ten lot w ogóle nie miał prawa się odbyć.

Oliwy do ognia dolewał docierający właśnie do Polski światowy kryzys finansowy, rozpoczęty w 2008 roku kryzysem na rynku nieruchomości w Ameryce i upadkiem jednego z wielkich banków USA (do Polski dotarł właśnie w okolicach 2010-2012 roku). Nakręcanie prostych, niewykształconych w podstawowym nawet stopniu w naukach ścisłych (które trzeba znać, aby móc się wypowiadać w ogóle o katastrofie) ludzi na comiesięcznych manifestacjach z mocną podbudową religjno-narodową wywołało falę negatywnych emocji społecznych, wzmogło i tak już istniejący hejting internetowy, podważyło kompetencje naukowców, fizyków, specjalistów od lotnictwa.

„Zamach” stał się sensacją, powstawały filmy, często

amatorskie, powstał niemal cały intratny „przemysł smoleński” – na tej (i innych) katastrofie można było sporo zarobić. Wreszcie powstała niemal „religia smoleńska”, o której napisać wypada osobno, a co najmniej nieformalna „smoleńska sekta”.

Jest rzeczą naturalną, że ludzie nie lubią szarej, zwyczajnej codzienności; szukając adrenaliny idą na lep licznych, rozlewających się dziś w sieci teorii i hipotez spiskowych, legend, zwykłych kłamstw politycznych. Emocje górują nad analizą, rozumem, rozsądkiem, nawet zwykłym zdrowym, potocznym myśleniem. Liczy się sensacja, ale i coś więcej: jest krzepiąca myśl, że tragiczna śmierć tylu najważniejszych ludzi w państwie, nie mogła być tylko straszną, ale jednak jedną z wielu podobnych w historii lotnictwa.

Skoro już to się stało, to ktoś – wróg, agenci, służby specjalne – musiał za tym „stać”. W ten sposób tragiczny wypadek obrósł legendą, której kres nie położyła nawet pandemia, bo przecież wedle prawicowych środowisk „nie ma żadnej pandemii”. Wyparcie w psychologii jednostki jest potężnym mechanizmem obronnym; jest to jednak mechanizm niedoskonały. Z czasem po początkowym pobudzeniu emocjonalnym, związanym z zajmowaniem się niezwykle spiskami, przychodzi otrzeźwienie, lecz powrót do normalności może być trudny. Prawda bywa dla wielu ludzi smutna, bo nieciekawa – podświadomie społeczeństwo neguje wyniki badań naukowych, bo z reguły dostarczają naturalnych, więc „nudnych” wyjaśnień.

Świat wedle spiskowców jest misternym matriksem, siecią wzajemnych połączeń i powiązań, gdzie wszystko łączy się, a raczej miesza ze wszystkim. Warunkiem dobrego poznawania rzeczywistości jest nie tylko sceptycyzm i krytycyzm (tak, nawet wobec hipotez naukowych), ale i umiejętność oddzielania informacji istotnych od mniej ważnych i wręcz nieistotnych, tworzących w informatyce tak zwany „szum tła”.

Najgorsze jest w tym wszystkim to, że na kłamstwach o katastrofie smoleńskiej w 2015 roku do władzy doszły właśnie

te środowiska, które lansowały (i nadal głoszą, ale już coraz ciszej) „smoleński spisek”.

Nie ma oczywiście bezpośredniego związku między obecną wojną, którą wywołał sam Putin, a sprawą katastrofy smoleńskiej. Putin zaatakował Ukrainę z własnej woli i świadomie. Jednak to, co działo się w latach 2010-2015 i potem po zdobyciu władzy przez obóz prawicowy mogło nawet najtwardszego polityka wyprowadzić z równowagi. Powtarzam: z niemal stuprocentową pewnością zamachu nie było. A jeśli zamachu nie było, to ówczesna opozycja, atakująca codziennie oskarżeniami Rosję i ówczesnego premiera Putina i podówczas pełniącego obowiązki prezydenta D. Miedwiediewa, pośrednio co najmniej nie sprzyjała poprawnym kontaktom polsko-rosyjskim, mającym na celu zbadanie przyczyn tragedii. Jednak patrząc nieco dalej, można przyjąć, że istniały środowiska w Polsce, które parły z całej siły do konfrontacji z Rosją. Gdyby rzeczywiście był zamach, oznaczałoby to zamach na jedno z państw UE i ważny kraj wschodniej flanki NATO.

Antyeuropejska polityka prawicy, którą obserwujemy od 2015 po dziś dzień była z jednej strony na rękę Kremlowi, z drugiej – niesłuszne oskarżenie o zamach rozsierdzić mogło nawet największych moskiewskich twardzieli, z trzeciej wreszcie – prawica stała się, szczególnie skrajna, jednym z pożytecznych idiotów Moskwy, której celem było przede wszystkim rozbięcie wewnętrznej jedności UE i osłabienie NATO. PiS obudził się z ręką w nocniku. Dla Polski jeszcze nie jest za późno. Dla prawicy – tak.

Autorstwo: Rafał Sulikowski
Nadesłano do WolneMedia.net

Komentarz administratora „Wolnych

Mediów”

Nie zgadzam się z poglądami autora. Chciałbym, aby był to zwykły wypadek lotniczy, ale widząc, co się wydarzyło w Polsce po kwietniu 2010 roku, wiedząc, że plany NWO nie są wdrażane z dnia na dzień, lecz planowano je od ponad stu lat, myślę, że to był jednak zamach. W tym szerszym kontekście widać, że Putin uczestniczy w tej samej grze Wielkiego Resetu co Klaus Schwab i jego pionki, ponieważ sprzyja kryzysowi. Putin na pewno zna prawdę i trzyma ją dla siebie jak wielką kartę przetargową. Myślę, że na pokładzie samolotu podłożono bombę, która była aktywowana zdalnie (np. drogą satelitarną lub komórkową). Dodatkowe przesłanki: bezprecedensowo złamano wszelkie procedury bezpieczeństwa, jakby komuś zależało, aby jak najwięcej najważniejszych osób w państwie upchnąć w jednym samolocie, a miejsce katastrofy wygląda bardzo podejrzanie – rozrzut szczątków jest na zbyt wielkim terenie. Zarejestrowano też do wybuchy w POWIETRZU a nie po uderzeniu w grunt. Nie wiem, czy Kaczyński wie co się dzieje, czy jego otoczenie utrzymuje go w nieświadomości, czy też nie chce znać prawdy i odrzuca wszystko, co nie pasuje do zamachu Putina, ale trwa wojna elit NWO z ludzkością, a Polska z jakiegoś powodu jest kluczowa (być może dlatego, że Polacy popsuli w latach 1920. plan podboju Europy przez ZSRR). Trzeba też zwrócić uwagę na liczne ataki „seryjnego samobójcy” po 11 kwietnia – w podejrzanych wypadkach i samobójstwach zginęli ludzie powiązani z katastrofą. Intuicyjnie nie wierzę w wypadek. Prawda jest ukrywana przed opinią publiczną, a ustalenia komisji Millera i Macierewicza to zasłony dymne.